

Witold Klinger

Tadeusz Zieliński

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 36/3-4, 435-450

1946

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

TADEUSZ ZIELIŃSKI

I

14 maja 1944 r. zmarł w Schoendorf nad jeziorem Ammer w Bawarii w 82-gim roku pracowitego i pełnego blasku życia, szeroko znany w kołach naukowych całego bodaj świata, Tadeusz Zieliński, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wielki uczony, pisarz i myśliciel.

Nic nie mówi wyraźniej o olbrzymiej, światowej wprost popularności tego imponującego swą wiedzą i geniuszem człowieka, jak obchodzone uroczyste w r. 1930 70-lecie jego urodzin i zarazem 50-lecie jego pracy doktorskiej, które stało się świętem nauki, jakiego Warszawa dotąd nie знаła, obesłanym bądź przez delegatów, bądź przez pisma lub depeşe gratulacyjne ze wszystkich bodaj ośrodków pracy umysłowej obu półkul. Można było przypuszczać, że syt sławy i zaszczytów, otoczony czcią i podziwem swoich i obcych, którzy nie szczędzili mu wszystkich, na jakie stać ich było, odznaczeń i godności, do końca swojego życia pozostanie światłem i ozdobą tego uniwersytetu warszawskiego, który, jak się sam wyraził, „stał się mu przytuliskiem na ostatnie lata pracy i życia“. Niestety, burza ostatniej wojny, która tak głęboko zmieniła oblicze świata, wygnała starego uczonego z jego cichego azylu w dziedzińcu uniwersyteckim, gdzie lubił przechadzać się i rozmyślać rankami i wieczorami w cieniu tych samych starych lip, co ocieniały niegdyś młodość innego wielkiego Tadeusza, który kształcił się w tych murach jako uczeń Królewskiej Szkoły Oficerskiej (mówię tu oczywiście o Tadeuszu Kościuszcze) i gdzie dożył katastrofy ostatecznej, która starła z powierzchni ziemi dawną Warszawę i rzuciła go na resztę życia na obczyźnie. Tu, w warunkach niezmiernie trudnych, wśród dotkliwych cierpień fizycznych, z postęпами choroby nieuleczalnej związanych, w zupełnym niemal osamotnieniu spowodowanym przedwczesną śmiercią nieodstępującej go nigdy córki Weroniki, w obliczu walącego się w gruzy dumnego gmachu kultury europejskiej i groźby całkowitej zagłady, zawisłej nad narodem, z którego sam wyszedł, dał dowody niezłomnego hartu ducha i wierności swemu powołaniu, jako uczonego i badacza, zdoławszy doprowadzić do końca dzieło swego życia przez uwieńczenie serii swych prac religioznawczych pla-

nowaną od 30 lat książką o chrześcijaństwie antycznym, zamkniętą na śmierci św. Augustyna.

Niech mi wolno będzie pokusić się tutaj o przedstawienie choćby nieudolnym słowem tego pięknego życia i jego niezwykłych szlaków, wiodących do bogatych, a imponujących nowością i oryginalnością osiągnięć.

Urodzony w r. 1859 na dalekich kresach dawnej Rzplitej Polskiej, we wsi Skrzypczyńcach w Kijowszczyźnie, dzieciństwo swe spędził w Petersburgu, gdzie ojciec jego, z podupadłej rodziny ziemiańskiej pochodzący, pracował na skromnym stanowisku urzędnika kontroli Państwa; tu kształcił się w niemieckim gimnazjum św. Anny, obcym, charakterystycznym dla ówczesnych szkół państwowych tendencjom rusyfikacyjnym. O tych latach dziecińczych pięknie i rzewnie opowiada on sam w służącym niegdyś popularyzacji antyku piśmie: „Filomata“ (zeszyt II i IV 1929 r.). Dowiadujemy się tam, że na wybór zawodu wpłynął określająco nauczyciel języków starożytnych w klasie V-tej, Józef König, dobry filolog ze szkoły wiedeńskiej Bonitza, Vahlena i Hartla, a nade wszystko utalentowany pedagog o duszy żywej i wrażliwej, podtrzymujący swego ucznia w jego instynktownym pociągu do łaciny, wszczepionym jeszcze w domu przez ojca, i zasilając młody umysł odpowiednim dlań pokarmem. Wcześniej osierocony przez matkę i ojca, dostaje się w Petersburgu pod opiekę stryja i po ukończeniu gimnazjum rozpoczyna, wbrew jego radom, studia klasyczne; przez to pozbawia się ze strony opiekuna pomocy materialnej i musi odtąd iść przez życie o własnych siłach, utrzymując się z lekcji prywatnych. Tak się paradoksalnie ułożyło jego życie, że ta późniejsza sława Uniwersytetu Petersburskiego i niezrównany mistrz we władaniu literacką mową rosyjską nie tylko na petersburskim, ale na żadnym innym uniwersytecie rosyjskim się nie kształcił i żadnej wogóle szkoły rosyjskiej za sobą nie miał; po chlubnym bowiem ukończeniu gimnazjum niemieckiego, jako wybitnych zdolności młodzieniec, wysłany zostaje w charakterze stypendysty rządowego do Niemiec i skierowany do rosyjskiego państwowego instytutu w Lipsku, gdzie stypendyści, otrzymujący od rządu macierzystego mieszkanie i utrzymanie, uczęszczali na wykłady profesorów niemieckich. Warto dodać dla wyjaśnienia, że polityką oświatową Rosji kierował naówczas, jako minister hr. Dymitr Tołstoj, twórca rosyjskiej dwujęzycznej szkoły klasycznej. Dla jej należytego obsłużenia, rząd rosyjski nie tylko założył dwa własne instytuty historyczno-filologiczne w Petersburgu i Nieżynie na Ukrainie, ale nadto sprowadził wielu nauczycieli języków klasycznych z Czech, nie mówiąc już o utrzymywaniu rzeczono seminarium nauczycielskiego w Lipsku. Tutaj młody Zieliński przebywał w latach 1876—1880, pracując pod kierunkiem profesora L. Langego i O. Ribbecka i nawiązując stosunki bliskiego koleżeństwa z młodymi

ludźmi, którzy niebawem mieli odegrać w nauce niemieckiej niepoślednią rolę, jak K. J. Neumann, W. Steglin, a nade wszystko O. Crusius, późniejszy profesor w Monachium oraz prezes Bawarskiej Akademii Nauk. Owocem ówczesnych studiów i podnięt jest praca: „Ostatnie lata wojny punickiej“, która w roku 1880 przyniosła mu doktorat niemiecki. Nie porzestając na tym jednym ośrodku wiedzy filologicznej, udaje się on następnie do Monachium, gdzie w jesieni tegoż 80-go roku wchodzi w bliższy kontakt z archeologią pod kierunkiem H. Brunna i z epigrafiką pod kierunkiem O. Hirschfelda. Po latach studiów następują lata wędrówek naukowych (Wanderjahre), wypełniających z pewnymi przerwami okres między 1881 a 1889 rokiem. Zwiedza wtedy Włochy od Wenecji poprzez Florencję do Rzymu, gdzie dłuższy czas pracuje pod kierunkiem W. Hentzena w niemieckim instytucie archeologicznym, i wreszcie do Neapolu, skąd urządza ekskursję do Grecji i nawiązuje bezpośredni kontakt z Atenami i Peloponezem. Po powrocie do Rosji pracuje z początku w tejże „Annenschule“, gdzie się był uczył, i w jej programach rocznych ogłasza po niemiecku i łacinie swe pierwsze prace, odnoszące się do komedii. W roku 1883 uzyskuje stopień magistra za pracę pisaną po rosyjsku: „O syntagmach w komedii attyckiej“ i zostaje docentem Uniwersytetu Petersburskiego, w r. zaś 1887 broni w Dorpacie ponownie pracy doktorskiej, p. t. „Die Gliederung der Altattischen Komoedie“ i otrzymuje w Petersburskim Uniwersytecie katedrę, do której osiągnięcia walnie przyczynił się pochlebny sąd o nim Erwina Rhodego, zawarty w liście do profesora Hörschelmana w Dorpacie. Z katedrą w uniwersytecie łączy on w roku 1890 katedrę we wspomnianym już „historyczno-filologicznym instytucie“ i wykłady na t. zw. „Wyższych żeńskich kursach“ Bestużewa i Rajewa. O początkach swego zawodu akademickiego bardzo interesujące wyznania i zwierzenia dał we wstępie do polskiego wydania swych szkiców popularno-naukowych p. t. „Z życia idei“ (Zamość 1925). Dowiadujemy się z niego, że nie odrazu trafił na własną drogę, która później miała mu przynieść zadowolenie, w słuchaczach zaś wywołać żywy odźwięk. Przez całe 15 lat, idąc szlakiem swych poprzedników i kolegów, sumiennie i wiernie przedstawiał obecny stan swojej nauki i podawał ostateczne wyniki badań cudzych i własnych. (Jak sam pisze, ogłosił w tym okresie około dwustu arkuszy rozpraw, przyczynków i komentarzy). Mimo to stosunek doń słuchaczy wciąż był dość chłodny i wykłady, rozpoczynane na początku semestru przy 100 słuchaczach z góra, dobiegały do końca przy kilkunastu lub kilku zaledwie. I oto postanawia wstąpić na drogę nową, i, objawszy po prof. Nikitinie kurs tragedii greckiej, zrywa zupełnie z rutyną i zamiast tradycyjnych „wstępów“ zaczyna mówić o tym, co w tragediach greckich najwięcej mu się podobało, wykrywać ich wa-

lory artystyczne i ideowe, wstawiać je, jako ogniwa, w łańcuch ewolucji od czasów zamierzchłych aż do dni dzisiejszych, i wkrótce staje się jednym z najpopularniejszych profesorów Uniwersytetu. To jednak już mu nie wystarcza, i o wartości umiłowanej nauki pragnie przekonać szerszą publiczność, jak przekonał już młodzież uniwersytecką. Zmienia przeto dotychczasowy surowy i sztywny sposób pisania, — i utorowawszy sobie nie bez trudu drogę do wielkich miesięczników rosyjskich, na ogół niechętnych klasycyzmowi, ze względu na jego rzekomą reakcyjność, poczyną w formie jedynie dla nich do przyjęcia możliwej, t. j. przystępnie pisanych i balastem naukowym nie nazbyt obciążonych szkiców, ujawniać nieprzemijające wartości antyku, biorąc za punkt wyjścia już to nowe odkrycia w dziedzinie filologii klasycznej, już to dawniej znane arcydzieła. Tu znowu sukces jest po jego stronie — i sympatia czytelników zdobyta na zawsze. Zieliński z uczonego tylko staje się pisarzem o wszechrosyjskim rozgłosie i wpływie. Te popularne co do formy artykuły kryją w sobie ogromi uprzedniej pracy myślowej i powstają tylko wtedy, kiedy autor istotnie ma coś nowego i własnego do powiedzenia. Są więc dalszym pomnożeniem jego dorobku nie tylko literackiego, ale i naukowego. Krocząc tą drogą i zdobywając w świecie rosyjskim coraz większe uznanie, Zieliński bynajmniej nie staje w sprzeczności ze swoim stanowiskiem narodowym, bo rozum mówi mu jasno, że przez to oddaje własnemu narodowi usługę podwójną: z jednej strony „krzewiąc w społeczeństwie rosyjskim prąd humanistyczny na przekór wrogim prądom reakcji nacjonalistycznej“, z drugiej — „pozyskując dla swego narodu przyjaźń istotnej i prawdziwej Rosji“. Jego pisma z tej doby, mimo szaty obcej, zachowują wyraźne piętno rodzime — i ustami przedstawiciela nauki rosyjskiej, profesora Mitrofanowa, zostały uznane za „prace polskie, pisane po rosyjsku“. Szerząc zainteresowanie lub pogłębiając zamiłowanie do studiów klasycznych wśród społeczeństwa rosyjskiego, zaczyna on w tym okresie bronić odważnie i gorąco szkoły klasycznej przed zamachami reformatorskimi, już od końca XIX wieku planowanymi przez rząd, a energicznie popieranymi przez oba skrajne skrzydła rosyjskiej inteligencji ówczesnej. Tendencja apologetyczna leży u podstaw jednej z najpiękniejszych ksiąg jego: „Świat starożytny a my“, która pierwotnie w formie ośmiu odczytów przeznaczona była dla abiturientów gimnazjów petersburskich, później zaś, przełożona na główne języki europejskie, stanowiła długo pokarm umysłowy wstępującej w progi uniwersytetu młodzieży całej połowy Europy. Ta właśnie książka ściągnęła nań namiętne ataki, i to ze strony lewicy, jak i prawicy rosyjskiej, odbijane przezeń z niezwykłą ciętością, werwą i odwagą. Wtedy to na zarzut, że jako Polak nie ma prawa zabierać głosu w sprawie organizacji rosyjskiej szkoły narodowej, padły z ust jego dumne słowa, że choć jest

istotnie synem narodu, na którego obolałym grzbiecie robione były świetne kariery służbowe, niemniej jednak swojego prawa, zdobytego długoletnią pracą dla szkoły rosyjskiej, nie wyrzeknie się nigdy. Stanowisko jego było wtedy tak zachwiane, że musiał się rozglądać za innym terenem działania, — i wykorzystując koniunkturę ówczesną, wydział filozoficzny w Monachium, za inicjatywą wspomnianego już O. Crusiusa, wysuwa kandydaturę Zielińskiego na opróżnioną przez śmierć Wölfflina katedrę, — wybór, który jednak nie dochodzi do skutku z powodu sprzeciwu bawarskich władz naczelnych, niechętnych mianowaniu cudzoziemca. W Petersburgu jednak stosunki ostatecznie dla Zielińskiego ukształtowały się pomyślnie i nie tylko pozostaje on nadal na dawnym stanowisku, lecz w roku 1909 obchodzi uroczyste 25-lecie swej działalności naukowo-pedagogicznej, uświetnione wydaniem jego bibliografii, liczącej już wtedy około 480 pozycji. Pierwsza wojna światowa, w czasie której Zieliński, mimo łączących go ze światem naukowym Niemiec bliskich węzłów osobistych, opowiedział się wyraźnie po stronie mocarstw „ententy“, podpisując protest przeciw głośnej odezwie profesorów niemieckich i wierząc w słuszność i ostateczne zwycięstwo jej sprawy, zaciążyła na jego życiu dotkliwie: znacznie uszczupliła zastęp jego słuchaczy, utrudniła warunki wydawnicze, pozbawiła weszłych w przyzwyczajenie podróży naukowych za granicę, za które słabą tylko rekompensatą były wycieczki turystyczne do gór i grot stalaktytowych Uralu, żywo i barwnie przezeń opisywane. Z drugiej jednak strony, wojna ta włożyła nań nowe obowiązki i zacieśniła jego luźny dotąd kontakt ze społeczeństwem polskim, reprezentowanym obecnie nie tylko przez dawniejszą polską kolonię petersburską, lecz przez liczny zastęp uchodźców wojennych. Po powstaniu tu „Polskiej Rady Szkolnej“ Zieliński wchodzi do niej jako przewodniczący, ponadto jest dyrektorem dwuletnich kursów akademickich i kierownikiem kursów literackich i naukowych. Kiedy znów w roku 1916 wysunięty został przez Prezydenta Wilsona postulat całkowitej niepodległości Polski, widzimy Zielińskiego w składzie deputacji wysłanej do ambasadora Stanów Zjednoczonych z wyrazami podzięków i uznania. Po przewrocie w Rosji horyzont dlań znów się zachmurzył. Niezależna prasa ze swobodą słowa i myśli przestała istnieć, firmy wydawnicze, dla których pracował dotąd, zostały upaństwowione i połączone w t. zw. „Gosisdacie“ (wydawnictwo państwowe) i służyły teraz innym celom. Uniwersytety zostały przebudowane na zupełnie nowych zasadach, wreszcie filologia klasycystyczna uznana za naukę reakcyjną, burżuazyjną, a więc szkodliwą i zbędną. Rola Zielińskiego w Petersburgu była już całkowicie skończona i można było, bez obawy posądzeń o ucieczkę z zagrożonego posterunku, pomyśleć o powrocie do ojczyzny, dokąd już przedtem podążyli jego polscy koledzy, jak Petra-

zycki, Baudouin de Courtenay i Ptaszycki, lub uczniowie, którzy potem zajmowali lub zajmują dotąd katedry uniwersyteckie w Polsce jak Srebrny, Chyliński, Popławski. Udało mu się, co prawda, z początkiem 1920 roku, w związku z kongresem naukowym w Hiszpanii, wyrwać się za granicę i nawiązać stosunki z Warszawą, gdzie proponowano mu już wtedy katedrę, lecz związany obietnicą powrotu i dręczony niepewnością o zostawioną nad Newą rodzinę, musiał w jesieni tegoż roku wrócić raz jeszcze do Petersburga i dopiero po traktacie Ryskim, dokonawszy opcji na rzecz Polski, otrzymał możliwość wyjazdu i opuścił byłą stolicę cesarskiej Rosji na zawsze.

Od r. 1922 aż do jesieni r. 1939 pracował i mieszkał w murach Uniwersytetu Warszawskiego, dokąd, po paru latach oczekiwania, przybyła także, zbierana przez całe życie, jego biblioteka prywatna, i jedynie cennej korespondencji osobistej nie udało mu się nigdy uzyskać. W tym okresie praca jego nad Wisłą, jak poprzednio nad Newą, nie ograniczała się do środowiska uniwersyteckiego, lecz zataczała kręgi szerokie, ogarniające kraj cały. Jakby wynagradzając sobie przymusowe wyuczasy, kiedy prawie nic nie publikował i pisał dla niepewnego jutra jedynie, drukuje on teraz stopniowo swe prace rękopiśmienne, śledzi za dokładnością przekładu swych dawniejszych prac rosyjskich na język polski, zasila nowymi rozprawami i artykułami długi szereg pism polskich — od ściśle fachowych jak: „Przegląd Filozoficzny“, „Przegląd Historyczny“, „Przegląd Humanistyczny“, „Eos“, „Kwartalnik Klasyczny“, aż do popularnych, przeznaczonych bądź dla młodzieży, jak: „Filomata“, bądź dla inteligentnej publiczności, jak: „Przegląd Powszechny“, „Przegląd Współczesny“, „Pamiętnik Warszawski“, „Wiedza i Życie“, „Gazeta Polska“ i t. d. Co więcej, znów promieniuje poza granicę swojej ojczyzny, najpierw na kraje słowiańskie, gdzie budzi szczególny oddźwięk, potem na cały świat cywilizowany. Do rozszerzenia zasięgu jego wpływu przyczynia się ogromnie to, że wraca on do przerwanej przez wielką wojnę tradycji podróży zagranicznych i wznawia pracę na terenie międzynarodowym. Członek wielkiego szeregu akademii nauk — Paryskiej, Brytyjskiej, Warszawskiej, Bułgarskiej, Czeskiej, Rumuńskiej i t. d., nie mówiąc już o Rosyjskiej i Polskiej — nigdy nie zawodził uczestnik kongresów międzynarodowych, występami swymi wywołujący entuzjastyczne oklaski i wskutek tego zapraszany skwapliwie na prelekcje do Paryża i Londynu, Berlina i Rzymu, Pragi, Sofii, Belgradu i t. d., był Zieliński jakby stałym ambasadorem nauki polskiej przed obliczem poważniejszej wlekiem i dorobkiem nauki Zachodu — i w tej roli więcej, niż ktokolwiek w kraju, przyczynił się do podniesienia powagi imienia polskiego. Podczas jednej z takich wypraw, w jesieni 1929 roku, wiodącej poprzez Lund i Berlin do Barcelony, dotknęła sędziwego już uczonego ciężka choroba i zmusiła do poddania

się po powrocie do Warszawy operacji, na szczęście uwieńczonej całkowitym powodzeniem. Niewyczerpany, zdawało się, zasób sił fizycznych krył w sobie organizm tego człowieka, który tak lekko niósł przez życie brzemień nieustannej, wyczerpującej pracy umysłowej i jeżeli szukał po niej odpoczynku, to chyba we wspinaniu się na lodowce i szczyty alpejskie, albo w takim przerzucaniu się — koleją, konno, parowcem, autem, aeroplanem — z jednego końca świata w drugi, jakiego mógłby mu pozazdrościć zawodowy „pożeracz kilometrów“. Naogół powiedzieć można, że ostatnie kilka lat przed drugą wojną światową były dla Zielińskiego okresem naogół pomyślnym. Zdrowie, jak na lata podeszłe, trzymało się wcale dobrze. W Uniwersytecie musiał, co prawda, ze względu na wiek opuścić katedrę, obsadzoną zresztą zgodnie z jego wolą przez ucznia jego Aleksandra Turyna, związek jednak z życiem akademickim zachował nadal nie tylko symboliczny — przez dalsze mieszkanie w obrębie Uniwersytetu i spędzanie długich godzin w jego bibliotece, ale i realny — przez prowadzenie t. zw. wykładów zleconych. Pewne odciążenie od pracy wykładowej wyzyskuje teraz dla wzmożonej pracy pisarskiej, i lata te pod względem produkcji naukowej były imponująco wydajne. Niezależnie od drukowanych w różnych pismach artykułów, recenzji i przyczynków prowadzi on dwie równoległe serie książek, z których jedną — pod ogólną nazwą „Świat Antyczny“ — doprowadza do końca przez wydanie w r. 1938 (po „Starożytności Bajecznej“, „Grecji Niepodległej“, „Rzeczypospolitej Rzymskiej“) na uwieńczenie całości „Cesarstwa Rzymskiego“, drugą zaś — pod ogólną nazwą „Religie Świata Starożytnego“ — posuwa znacznie naprzód przez ukończenie w rękopisie badanej przez niego ostatnio „Religii Cesarstwa Rzymskiego“. Ponadto, wróciwszy do myśli udostępnienia szerokiej publiczności swych prac popularnych przez dorzucenie do poprzednio ogłoszonych artykułów rosyjskich także później, od 1920 r., drukowanych polskich, potrafił on zdobyć poparcie ruchliwej firmy wydawniczej „Rój“ i zdażył w r. 1939, na krótko przed wojną, rzucić na półki księgarskie okazałą książkę p. t. „Z życia Idei“ T. II., pojętą jako ciąg dalszy wydanej jeszcze w r. 1925 przez inną firmę książki pod tym samym tytułem, i nawet oddać do dyspozycji rzeczonoego „Roju“ cały materiał, mający wypełnić projektowane 4 tomy dalsze. Jeżeli do tego dodamy, że mniejsze artykuły i prace w językach obcych — po łacinie, francusku, niemiecku i t. d. — pisane, już poprzednio oddał był do Lwowa prof. R. Ganszyńcowi, który też wydrukował je tam w dwóch tomach pod wspólną nazwą „Iresione“, to możemy powiedzieć, że T. Zieliński w jesieni swego życia, niby ów wiejski gospodarz, który z końcem lata skrzętnie zwozi z pól jego dary, w przewidywaniu nadchodzących burz historycznych śpieszył rozrzucić po czasopismach Europy plony swej pracy badawczej skupić razem w łatwo do-

stępnym każdemu wydawnictwach. Niestety, wybuch wojny światowej przekreślił te wszystkie nie plany już, lecz bardzo zaawansowane przedsięwzięcia, piszącego zaś te słowa oddzielił w znaczeniu fizycznym od mieszkającego w Warszawie T. Zielińskiego na zawsze.

II

W styczniu 1940 r., dostawszy się do Warszawy, wybrałem się zaraz do Uniwersytetu, znalazłem się tu jednak wobec smutnych, pustych okien wypalonego od środka gmachu, i po informacji o Zielińskim skierowano mnie do domu profesorskiego na Starym Mieście. Tu dowiedziałem się jedynie, że ciężko chory bawił on tu istotnie czas jakiś, lecz został przez córkę wywieziony do Niemiec na kurację. Bliższych wiadomości udzielił mi dopiero starszy asystent dr Gordziejew, który przez czas obłężenia miał pieczę nad osobą Profesora i Seminarium Filologii Klasycznej. Od niego więc się dowiedziałem, że trzy tygodnie bombardowania zniósł Zieliński ze zdumiewającym spokojem i równowagą i że katastrofa, która pozbawiła go domu i, co najważniejsza, rękopisów, spadła nań wtedy, kiedy się jej najmniej spodziewać można było, bo kiedy były już w toku rozmowy kapitulacyjne. W ostatnim dniu obłężenia pocisk nieprzyjacielski wzniecił pożar w suterenach gmachu, gdzie na I piętrze znajdowało się seminarium i mieszkanie Zielińskiego, a ogień szerzył się z taką gwałtownością, że dr Gordziejew, wpadłszy do Profesora z tą wieścią, zażądał odeń natychmiast doręczenia mu najcenniejszych rzeczy, których dostawienie do domu profesorskiego na Starym Mieście brał na siebie, — i otrzymał istotnie oprócz maszyny do pisania i klatki z kanarkami parę walizek, z którymi, nie pytając o nic więcej, ruszył zaraz naprzód, torując w zamięcie drogę Profesorowi i jego córce; po niewczasie dopiero się dowiedział, że w pośpiechu zapomniano włożyć do walizek gotowego rękopisu i materiału do prac dalszych. Po opuszczeniu płonącego domu na Krakowskim Przedmieściu Zieliński padał tknięty paraliżem i wzięty na nosze, przewieziony zostaje do domu profesorskiego.

Wszystko zaś, co zostało w domu: rękopisy, korespondencja, biblioteka seminaryjna i własna, stało się pastwą płomieni. Po uchyleniu bezpośredniego niebezpieczeństwa, przed pozbawioną domu rodziną stało pytanie: co czynić dalej. I uważam za swój obowiązek serdecznie podziękować tu dwom ludziom, którzy, szybko zorientowawszy się w położeniu, podtrzymali córkę Profesora Weronikę w jej postanowieniu wywiezienia ojca na kurację do Schoendorf pod Monachium, gdzie mógł on liczyć — z tytułu dawnego koleżeństwa i przyjaźni z byłym Prezsem Bawarskiej Akademii Nauk, Ottonem Crusiussem, na przyjazną opiekę sfer uniwersyteckich. Mam tu na myśli najpierw wspomnianego już dra Gordziejewa, następnie zaś dra Sergiusza Kułakowskiego, syna profesora

Uniwersytetu Kijowskiego, Juliana Kułakowskiego, zdawna zaprzyjaźnionego z Zielińskim. Ci dwaj ludzie zasłużyli sobie istotnie na wdzięczną pamięć zarówno polskiego, jak i słowiańskiego wogóle społeczeństwa, a to przez to, że przedłużając znacznie życie wielkiego uczonego, umożliwili mu doprowadzenie do zakreślonego jego wola końca pracy żywota. Z ogromnym poświęceniem, nie żałując fatygi i czasu, obchodzili oni długo różne urzędy niemieckie, aż zdobyli wkońcu niezbędne dlań dokumenty podróży. Bez ich ofiarnego wysiłku nie wyobrażam wprost sobie, aby Zieliński, osłabiony chorobą, przygnębiony trudną do naprawienia stratą rękopisów, mógł w warunkach srożących się mrozów, ciasnoty mieszkaniowej, trudności materialnych i szczelnego zamknięcia w Warszawie wszystkich bibliotek publicznych przetrwać choćby pierwszą, szczególnie ciężką zimę okupacyjną, kiedy zasiłki zagraniczne jeszcze nie dochodziły, a samopomoc miejscowa nie zdołała się zorganizować i usprawnić. Intuicja córki okazała się trafna — i do rzeczonoego Schoendorfu tułaczom naszym udało się nie tylko szczęśliwie dotrzeć, ale także — mimo początkowych szykan ze strony administracji — na stałe się utrzymać. W małym miasteczku, wtedy jeszcze przez fale uchodźców nie zalany, można było znaleźć skromne mieszkanko i jako tako się urządzić, w surowym zaś, lecz zdrowym klimacie podalpejskim stan chorego na tyle się poprawił, że począł on chodzić bez kuli i, co ważniejsza, do pracy naukowej mógł powrócić. Co więcej, córka znalazła zarobek, malując na porcelanie i robiąc portrety, nie mówiąc już o pomocy materialnej syna; poczęły wreszcie docierać zasiłki pieniężne z kraju, przesyłane przez prof. Kotarbińskiego. Kiedy udało mi się wkońcu nawiązać z Zielińskim korespondencję, rekonstrukcja jego spalonej książki była już w toku.

Niestety, wcześniejsze z otrzymanych listów uległy zniszczeniu, dochowały się zaś jedynie dalsze z okresu od 8. II. 1941 do 23. IV. 1944. Już w pierwszym z dochowanych listów komunikuje, że praca jest bardzo zaawansowana i prowadzona z wielką energią: „praca nad tomem 5 tak mnie absorbuje, że poza tym już nie mam czasu na nic. A ta praca posuwa się żwawo; połowę już skończyłem i wciąż jakby mnie kto pędził. Staram się wydrzeć wrogiemu losowi jedną stronę po drugiej.“ Nie znając warunków w kraju, myśli on nawet o druku swej książki w Warszawie: „Ja dla mego tomu 5 miałem uzasadnioną nadzieję, ale ta się zachwiała, odkąd moja nakładczyni (p. Mortkowiczowa) znikła, nie podając wieści o sobie. Czy Pan wie coś o niej?“ Wiedzieć — wiedziałem, ale dla powodów zrozumiałych zawiadomić Profesora nie mogłem. W pół roku później, 14. VIII. 1941, donosi mi już z zadowoleniem: „Skończyłem dziewiąty, t. j. przedostatni, rozdział i teraz mogę sobie pozwolić na napisanie kilku listów; tak się bałem, że siły fizyczne i umysłowe opuszczą mnie przed jej ukończeniem.

Teraz tej obawy już prawie nie mam; pozostał, co prawda, jeszcze rozdział dziesiąty do wykończenia. Potem nastąpi kilkumiesięczna rewizja z dodatkami, ale książka i bez niej będzie gotowa, a z nią całość „Religii Pogańskich“. Że zdążę skończyć i szósty tom „Chrześcijaństwo Antyczne“, o tym ja, starzec 82-letni, nawet marzyć nie śmiem.“ Naturalnie starałem się podtrzymać w nim wiarę w możliwość realizacji tego marzenia i prosiłem o podobne sugestie innych korespondujących z nim kolegów. Oto przewyciężył on trudności, płynące z psującego się wciąż zdrowia swego i córki i w liście z 21. XI. 1941 może już napisać: „Rewizję rękopisu już na połowie zakończyłem“, w liście zaś z 9. I. 1942 mówi o całkowitym zakończeniu tomu V: „Staram się korzystać z ostatnich dni mego pobytu na tym padole, żeby w miarę możliwości skotyczyć me dzieło, i to mnie się niespodziewanie udało w stosunku do tomu V — ostatniego w szeregu tych, co są poświęcone religiom pogańskim i tworzą przeto niby jedną całość. Tak, w rękopisie jest on gotów, ale o jego wydrukowanie zatroszczyć się już chyba moi spadkobiercy, za pomocą moich wiernych przyjaciół warszawskich“. To wszystko znajdujemy już pod sam koniec tego listu, niezmiernie zajmującego także i z tego powodu, że wyżej spotykamy w nim wartościowanie przez samego autora własnych jego dzieł. Dziękując „przyjaciołom warszawskim“ za przesłanie mu w upominku trzytomowego rosyjskiego „Sofoklesa“, uważa on go za swoje najlepsze dzieło w języku rosyjskim, podobnie jak „Cicero im Wandel der Jahrhunderte“ za najlepsze w języku niemieckim, a „Religie świata starożytnego“ za najlepsze — w polskim. W dwa miesiące później, w liście z 23. III. 1942 widzimy już, obok ostatniej wzmianki o ukończonym tomie V, pierwszą — o wchodzącym właśnie na warsztat tomie VI: „Tom V niby to już skończyłem, a jednak są jeszcze potrzebne tu i tam poprawki i dodatki, które skończą się chyba wtedy, kiedy całość będzie oddana do druku, albo autor do grobu. Nim rozpocznę tom VI i ostatni, wypadnie mi raz jeszcze pojechać do miasta, a to teraz jest rzecz niezupełnie łatwa“. Mimo to nastrój z nadziejsiem wiosny jest dosyć pogodny: „Przynajmniej na zdrowie skarżyć się nie możemy“. A raz zaczęte dzieło, ostatnie dzieło życia, o władno całkowicie i niepodzielnie jego umysłem i wola, ujarzmiając je do tego stopnia, że autor stał się czymś drugorzędnym i wtórnym przy rosnącej jego kosztem książce. Świadczy o tym wymownie list z 17. VII. 1942, w którym Zieliński w sposób następujący tłumaczy się z długiego milczenia: „Czytam właśnie w związku z moją pracą ciekawą książkę: „Das Reich der Dämonen“, i sam jestem we władzy takiego demona. Siedzi on ze mną i wciąż mnie pędzi: pisz... czego nie napiszesz teraz, tego może nie napiszesz już nigdy. A... w tym, co piszę, zawiera się usprawiedliwienie tego, że wogóle żyję. I jestem tak już bliski celu — mam już przecież

szósty i ostatni tom na warsztacie — i jednocześnie tak daleki: skończyłem bowiem zaledwie I jego rozdział i to nawet bez „uwag“, a wszystkich ma być dziewięć. Toteż nie daje mi mój demon spokoju. Tylko po ukończeniu rozdziału, jak właśnie teraz, pozwala mi on odpocząć i załatwić kolejną korespondencję, co też i robię, ale... że tak powiem tylko połową głowy (osobliwy rodzaj migreny — hemikranion). Nie skarzę się na to. Uważam to za szczęście, że mogę przebywać duszą w sferze czystej nauki, kiedy moja wierna córka troszczy się o warunki cielesnego bytu i musi rozwiązywać skomplikowane rebusy systemu kartkowego“. Przy takim ześrodkowaniu wszystkich władz duchowych na jednym celu nie było nic dziwnego, że ten cel, wyglądający pierwotnie, jako czcze marzenie, realizował się z wolna, jakkolwiek nie tak szybko, jak by się chciało niecierpliwości piszącego. „Moja praca posuwa się, ale do końca tomu VI jeszcze bardzo daleko“ — stwierdza Zieliński w liście z 30. IX. 1942, skarżąc się na przeszkody ze strony dolegliwości własnych i nagłej choroby córki, która tak dzielnie o warunki cielesnego bytu się troszczyła. „Ja raptem zacząłem widzieć podwójnie — accessit numerus lucernis — widzę na przykład na schodach stopnie tam, gdzie ich „rerum natura“ nie umieszczała: stąd niebezpieczeństwo przewrócenia się“, na co wezwany okulista nie znalazł innego środka jak zalepienie jednego oczka okularów“. „Gorzej, — czytamy dalej — że zachorowała także córka: zmizerniała okropnie, nogi opuchły, trudności oddechu“. Nie brałem zbyt tragicznie ostatniej wiadomości, dotyczącej osoby, będącej jeszcze w sile wieku, i to tym bardziej, że kiedy raz, zaniepokojony dłuższym milczeniem Profesora, zwróciłem się po informacje do jego córki, otrzymałem od niej niebawem pisany 11. XI. 1942 i utrzymany w pogodnym tonie list, że „milczenie ojca tłumaczy się tylko tym, że chronicznie przebywa on w stanie napięcia, czy skończy swoją książkę, a co do jego zdrowia, to — daj Boże takiego zdrowia każdemu na takie lata“ — wraz z informacją, że niedawno sama towarzyszyła ojcu w wycieczce do Biblioteki Monachijskiej, niestety, bezskutecznie. Przy tej okazji umiała ona nie bez humoru przemycić należąca do kontrabandy wiadomość, że „obecnie Mnich (t.zn. Monachium) trochę podobne jest do Syreny“ (t. zn. Warszawy, mającej w herbie Syrenę). Byłem więc o oboje zupełnie uspokojony — i dlatego właśnie podział na mnie jak grom z jasnego nieba wysłany w dniu 23. XII 1942 wstrząsający w swym lakoniźmie komunikat: „Wczoraj 22. XII, zmarła w szpitalu po krótkim kryzysie długiej choroby córka moja — szczegóły później“.

Tego więc jeszcze brakowało! Po utracie rękopisów, biblioteki, całego mienia, wreszcie zdrowia, przychodzi naraz utrata tej, która była dlań opiekunka, pielęgniarka, sekretarka, wierna towarzyszką, chodząca Opatrznością, wszystkimi.

Z uczuciem więc ludzkiego współczucia dla ciężko doświadczonego starego ojca łączyła się jeszcze troska o los nieskończoności, a tak bardzo mu na sercu leżącego dzieła. Czy zniesie stary Mistrz ten okrutny cios? czy znajdzie w sobie dość sił do życia samotnego i samotnej już aż do śmierci pracy? Z ciężkim uczuciem brałem się do pisania odpowiedzi, z góry odczuwając jałowość i czczość cisnących się pod pióro słów współczucia, i mimo to odważając się przypominać mu obowiązki względem nauki, przyjaciół, społeczeństwa. W takiej prawdopodobnie rozterce duchowej byli chyba ci wszyscy, którzy, jak ja, reagowali listownie na wieść żałobną: Prof. Nowotny, Kotarbiński, Srebrny. Jeżeli jednak nasz Senior z tej straszliwej próby wyszedł zwycięsko, jest to, jak zobaczymy niebawem, zasługą zmarłej córki, Weroniki Zielińskiej, która niejednokrotnie zachęcała go do wytrwania w pracy. O dokonanym przełomie, o zwycięstwie woli uczonego nad rozpaczą ojca, świadczy dalszy list z dnia 5. II. 1943, gdzie czytamy m. i. słowa: „kiedy zawiadomiłem Pana o nowym okrutnym ciosie, który na mnie spadł, i obiecywałem szczegóły później, spodziewałem się, że z czasem będzie mi je łatwiej podać; teraz wiem, że nie nastąpi to nigdy; wszelako zważyłem w sobie ból i napisałem maleńką pamiętkę o ostatnich... chwilach mojej męczennicy w trzech egzemplarzach: jeden zachowałem sobie, drugi posłałem mej najbliższej krewnej Zaleskiej, trzeci naszemu koledze Kotarbińskiemu z prośbą o zakomunikowanie przyjaciołom, ...spodziewam się, że mu się udało to uczynić... Jedyną rzeczą, która jako tako odwleka myśl od mojej straty (chwilowo, ma się rozumieć), jest to moja praca, której ukończenie uważam za mój obowiązek względem nauki, przyjaciół i rodaków. Trwa ona już lat 30 z górą. Brak mi do zakończenia tylko kilku miesięcy, po czym będę mógł powiedzieć z Symeonem: „Teraz puszczasz, Panie, sługę Twego w pokoju...“ Brakujące jeszcze rozdziały są środkowe. Pierwsze i ostatnie już napisałem, tak że już teraz książka, ów tom szósty, ma wygląd całości. Nie bardzo liczę na to, że będę mógł oba tomy, t. zn. V i VI, podać do druku. Przechowywać je będzie mój syn, a o druk zatroszcza się znowu przyjaciele warszawscy, i pozwalam sobie i Pana do nich zaliczyć. W każdym razie moje dzieło będzie spełnione i w pewnym sensie „ex faucibus fati ereptum“, z gardzieli losu wydarte, jak o tym powie przedmowa.“ Wspomniany wyżej opis ostatnich dni życia Weroniki Zielińskiej istotnie otrzymałem, przysłany mi lojalnie przez prof. Kotarbińskiego — niestety, podzielić się nim z czytelnikami nie mogę, gdyż z wielkością papierów moich spłonął w Warszawie. Powrót Zielińskiego do pracy przyczynił się rychło do wyprowadzenia go z obcej jego czynnej naturze prostracji duchowej, o czym świadczy pismo z dnia 31. III. 1943: „Późno odpowiadam na list Pański, otrzymany w lutym... Przyczyna zawsze ta sama:

oddawałem cały czas mej pracy, pomny tego, że tego czasu jest już niewiele. I udało mi się wkońcu doprowadzić ją do takiego punktu, gdzie już widziałem przed sobą koniec, do którego brakowało według moich obliczeń tylko paru miesięcy, gdy nagle spotkała mnie niespodzianka.“ Ta niespodzianka okazało się poważne uszkodzenie zaopatrującej Zielińskiego w książki Biblioteki monachijskiej, zakomunikowane oczywiście w odpowiednio zawołowany sposób. Z dalszych szczegółów listu tego może warto wspomnieć o udzielonym mi pozwoleniu na polski przekład jego symbolicznej fantazji „Vince Sol“, oraz o „bardzo miłym“ liście od państwa Nowotnych, na który zamierza odpowiedzieć. Z następnego listu pod datą 15. VII. 1943 dowiadujemy się, że katastrofę książkową udało się zażegnać, gdyż Bibliotekę monachijską w roli dostarczycielki pokarmu umysłowego zastąpiła obecnie lipska: „Niedawno otrzymałem solidną pakę z Lipska, więc mogę znów pracować, ale strata czasu jest niepowetowana, a tego pozostało mi niedużo...“ Dowiadujemy się także, że „ze zdrowiem jest dosyć kiepsko“, gdyż do ataków sercowych, jego stałej choroby, nosos syntrophos — jak się wyraża — „dołączyła się rozlana po całym ciele słabość“, mimo to ślęczy ciągle nad herezjami: „od montanizmu przechodzę teraz do arianizmu... nie przepadam za reformacją, ale wśród wyznań reformowanych uważam wywodzący się z arianizmu socynianizm za najsympatyczniejszy“. We dwa miesiące później, 28. IX. 1943 skarży się znowu na potęgujące się niedomagania: „Stan mego zdrowia pogorszył się. Przewidywałem to, ale nie spodziewałem się, że zapowiedź ta spełni się tak rychło“, ale zarazem donosi o idącej wciąż naprzód pracy: „jeszcze mogę pracować i nie tracę nadziei, że uda mi się opanować św. Augustyna, zanim Wola wyższa oderwie moje ręce od maszyny mojej.“ Nadto daje on tutaj wymowny wyraz zainteresowaniom życiem umysłowym naszego narodu: „Nie gasić ducha — powinno być naszym hasłem powszechnym... Czy jest jakieś obcowanie między docentami i wogóle inteligencją? Powinno być, ustne i piśmienne: muzyka, teatr i wykłady. O bridż nie pytam, bo wiem, że ten umrze ostatni.“ Oczywiście niepodobna mu było listownie wyjaśniać, dlaczego przez lata całe wielu z wyliczonych tu cennych rzeczy u nas być nie mogło. Wreszcie to, co zdawało się być niedościgłym marzeniem, stało się jednak rzeczywistością — i w dniu 27. XII. 1943 mógł on już napisać mi słowa następujące: „Razem z powinszowaniem noworocznym przesyłam Panu wiadomość, że przed paru dniami, mianowicie 22. XII., akurat w rocznicę zgonu mojej córki, dopisałem ostatnie słowa przedmowy do mojej książki — ostatniego tomu dzieła, nad którym pracuję od lat 30. Ta konieczność jest naturalnie przypadkowa, mimo to nie pozbawiona pewnej znamienności: przecie moja Weronika była aż do ostatnich rozdziałów pierwszą i jedyną czytelniczką tego

VI tomu, — nawet kiedy jej zabrakło, czułem jednak obecność jej czystej, kochającej duszy, wciąż o niej myślałem, — i kto ją znał, a Pan znał ją, ten łatwo przy czytaniu książki rozpozna miejsce, szczególnie ze względu na nią napisane. Oby tylko nastąpiła ta chwila, kiedy można będzie ją wraz z jej poprzedniczką, tomem V, oddać do druku! A że ja do niej nie dożyję, to pewne: ataki stenokardii są coraz częstsze, dłuższe i boleśniejsze, słabość rośnie z każdym miesiącem. Siedzę ciągle w domu, tylko w dni słoneczne wychodząc na półgodzinne spacer. No, skoro książka jest gotowa, to już mam prawo do śmierci. Co prawda, rewizja... ta już jest w rękę Bożym. Prawdę mówiąc, skoro już wpadłem w te mrozy i mroki zimowe, chciałoby się doczekać wiosny. Tymczasem jednak mówię za Ajschylem: „eithe tis en tachei mē periōdynos mēde demiotērēs...” (a więc modli się o śmierć rychłą, bezbolesną i do łoża nie przykuwającą).

W niespełna miesiąc po tym znamionym liście, w dniu 21. I. donosi Zieliński o pewnej poprawie zdrowia, ale zarazem i o nowych kłopotach. „Pogoda, jakimś cudem prawie przedwiosenna, przyniosła mi pewną ulgę: korzystam z niej celem pielgrzymek do ławki nadjeziornej, nad którą często siadaliśmy z Weroniką w czasach, które teraz wydają mi się szczęśliwymi, a którą nazwałem jej imieniem. Tak się narazie żyje, przeważnie samotnie. A dla mnie samotność to trucizna“. Wspomniany wyżej kłopot wyrósł z faktu, że po Bibliotece monachijskiej i lipska z kolei i z tych samych powodów straciła możliwość zaopatrywania naszego uczonego w niezbędne mu dla rewizji i uzupełnienia rękopisu książki — i trzeba się było rozejrzeć za ich innym źródłem. Pociesza się jednak tym, że „przynajmniej sama książka jest, chwała Bogu, gotowa“. Ostatni wreszcie list, pisany 23. IV. 1944, a więc na trzy tygodnie przed śmiercią, przynosi nam oprócz cennych danych biograficznych, dotyczących lat studiów w Niemczech i dalszych podróży naukowych („Wanderjahre“), przysyłanych mi w odpowiedzi na zapytanie i częściowo już wyzyskanych na miejscu właściwym, także wiadomość, że dobrotliwa Opatrzność udzieliła mu paru chwil — już ostatnich — wytchnienia przed katastrofą końcową. Oto milkną dotkliwe cierpienia fizyczne, znikają także utrudniające pracę przeszkody wewnętrzne: „Wiosna przyniosła mi lekka ulgę. Od początku miesiąca znów wychodzę na powietrze i słońce. Było to rozkoszą po dwu miesiącach uwiezienia w pokoju z powodu śniegu, zawiei i ślizgawicy. Wychodziłem najprzód w towarzystwie (zawroty głowy), a od kilku dni i sam jeden... Praca z rewizją rękopisu posuwa się naprzód dzięki przysyłanym przez zacna Tubingensis — książkom“. Zostaje jednak nie dająca się usunąć tęsknota za zmarłą: „ale mojej Weroniki brak mi na każdym kroku. Przewidywała to, kiedy ją wyprawiano do szpitala

w nadziei na wyzdrowienie. Jej ostatnia troska była o mnie. Proszę pamiętać i o niej, nieoderwalnej."

Tu wyczerpują się „dokumenty ludzkie“, stanowiące cegiełki do biografii pisarza, urywają się, milkną na zawsze żywe i do żywych serc przemawiające słowa piszącego i tworzącego samotnie wielkiego Człowieka. Potem przychodzi już tylko suchy, oficjalny, w języku urzędowym wystylizowany, drukowany komunikat, że Profesor Uniwersytetu i t. d. dnia 14. V. 1944 roku życie zakończył.

„Toiond' apebê tode pragma“. To stereotypowe zakończenie kilku tragedii Eurypidesa staje dziś w pamięci nie przypadkowo. Przesunęła się przed naszymi oczyma głęboka tragedia, a raczej dwie ściśle powiązane ze sobą tragedie: tragedia cichej, ofiarnej kobiety, która poświęca wszystko dla ojca, nie ma wogóle poza nim własnego życia, — i oto naraz musi przedwczesnie odejść w zaświaty, zostawiając go samego przed obliczem zbliżającej się śmierci, — jego z kolei śmierci — w nieopisanym osamotnieniu i sieroctwie — i tragedia głośnego na cały świat uczonego i pisarza, który w tej pustce własnie musi dokonać wieńczącego trud całego życia, dzieła, — tragedia więc „Edypa w Kolonie“ — tylko bez Antygony, na tle już nie szalejącej, jak u Sofoklesa, burzy atmosferycznej, lecz srożącej się dookoła burzy dziejowej, w krwawym oświetleniu płonącej Europy, wśród złowrogich huków i trzasków walącego się w gruzy dumnego niegdyś gmachu kultury europejskiej. Zaprawdę:

Opatrzności jak dzieł wielokształtny jest bieg!
 Niespodzianek wszak moc z woli dzieje się bóstw,
 I nie spełnia się, co przewidywał wpiery mał,
 Znalazł drogę dla spraw niemożliwych zaś Bóg.
 Taki wynik i tej jest historii.

Jak stare tragedie greckie, tak i ta tak bardzo nowoczesna tragedia nie tylko nas wzrusza, roztkliwia i wstrząsa, ale jednocześnie oczyszcza, podnosi i buduje. Odrywa od poziomych spraw bytowania na nizinach życia codziennego, unosząc wzwyż, przyzwyczajają do czystej, chłodnej atmosfery szczytów górskich, do rozległych, szerokich widnokręgów, a więc do tej dziedziny, gdzie rozgrywają się wielkie walki o prawdę, dostojność i piękno życia ludzkiego. Z samego zektnięcia się z tym wyższym, lepszym światem, wyłaniają się pewne nakazy moralne, pozostają w duszy pewne wysokie wzory pociągające do naśladowania. Nie podobna jest oczywiście naśladować geniusza, który w wysokim stopniu właściwy był zmarłemu, a który jest zawsze tajemniczym, nieprzekazalnym darem z rąk Stwórcy, jakąś Augustynową „gratia gratis data“, wydoskonaloną tylko i wysubtelnioną przez własny wysiłek wybrańca. Możemy natomiast i powinniśmy naśladować zmarłego w tym, czym pomnożył on ów bezcenny

dar przyrody, to znaczy, kroczyć zawsze wytkniętą przezeń drogą niezmordowanej pracy, bezkompromisowej uczciwości myślowej i nieznanącej wahania wierności. Wierności — czemu? — spytają może czytelnicy. Odpowiadam więc: Wierności przede wszystkim temu uniwersytetowi, któremu pragnął poświęcić schyłek swego życia i za którego członka uważał się na obczyźnie, już po rozwiązaniu przez władze okupacyjne wszystkich uniwersytetów polskich. Tak w r. 1941 podpisuje on swój francuski artykuł o Hermetyzmie, drukowany we włoskim czasopiśmie „Scientia“: Thadée Zieliński de l'Université de Varsovie. Wierności, dalej, temu, co nazwał on niegdyś: „kodeksem honoru myśliciela“, a co sformułował w słowach: „Przyjmij każde twierdzenie, nawet najbardziej ci nie-nawistne, jeżeli przemawiają za nim dowody wystarczające, i odrzuć każde twierdzenie, nawet najbardziej ci drogie, jeżeli dowody dostateczne przeciw niemu przemawiają“.

Wierności następnie swemu, w młodości obranemu, powołaniu, przez całe swe życie, długie a pracowite aż do głębokiej starości, kiedy to wśród udręki fizycznej i moralnej kończy swe ostatnie dzieło „przy mdłym świetle dopalającej się lampy jego życia“ — jak się pięknie w liście do profesora Nowotnego wyraża. Wierności, wreszcie, dla idei odrodzenia słowiańskiego, tak szczególnie obecnie niezbędnego i pożądanego ze względu na bijący w oczy upadek, niegdyś tak pewnej siebie kultury europejskiej. Niech mi wolno będzie przytoczyć tu jeszcze znamienne słowa Zielińskiego, pisane w przedśmiertnym liście do profesora Nowotnego: „Idea odrodzenia słowiańskiego nie przestaje być jedną z moich ulubionych. Jest dla mnie pociechą, żeśmy wedle możliwości przyczynili się do jej realizacji przez oba zjazdy w naszych krajach, i spodziewam się, że będą one miały ciąg dalszy, kiedy obecne czasy udręki przemina. Z tą nadzieją zamierzam pożegnać świat, co niezadługo nastąpić musi. Proszę moich Kolegów czeskich, jeżeli po mej śmierci będą mnie wspominać, czynić to w związku z tą ideą“. Przytoczone tu słowa stanowią niewątpliwie testament Zielińskiego, — i osobliwie wierzę głęboko, że wyrażonej tu tak dobitnie ostatniej woli naszego Mistrza, nasze dwa bratnie, a wspólną niewolą, niedolą i walką jeszcze ściślej związane narody, same z kolei pozostaną wierne do końca.

Witold Klinger
